

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

**1870.**

---

Tom trzeci.

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

---

**1870.**





De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава 15 Июня 1870 года.

K. 35/46

---

W drukarni Gazety Polskiej przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

# NIE W PORE.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

*Teresę Prażmowską.*

---

„Piosenki świata zaczynają się od fałszywych akordów—a kończą się gwałtowném zerwaniem strun... stłuczeniem harfy.”

*J. Słowacki.*

## *List I.*

ZYGMUNT DO ANIELI.

*Dnia 16 grudnia.*

Droga siostró moja, dziś właśnie odebrałem od Toli list, którym mnie wzywa żebym bez zwłoki przyjeżdżał do Podzamcza, bo Jerzy ciągle jest cierpiący, a różne domowe i gospodarskie interesa wymagają obecności mężczyzny, któryby się nimi zajął, wyręczając w tém Tolę i tak już znękaną ciągłą troską o zdrowie męża. Spieszę więc na wezwanie bratowój, z postanowieniem zabawienia u nich tak długo, dopóki im będę potrzebnym i użytecznym. Brak mi już nawet czasu do pożegnania ciebie, chcę wyjechać pojutrze, a jeszcze nie jedno u siebie załatwić muszę. Te poziome, powszednie obowiązki życia, to istny łańcuch niewolniczy:... człowiek skutny jego ogniwo musi się wyrzec tego, co mu jest najmilszą potrzebą umysłu i serca. Taką jest dla mnie obecność twoja, Aniello, źle mi jest zawsze i smutno, ilekroć na czas długi zbraknie mi twego słowa, co przekonywające

jest i rozumne, bo ogrzane tém ciepłem serdeczném, bez którego martwieje wszystko i obumiera. Bóg wie kiedy się zobaczymy, czekam więc niecierpliwie listu twego w Podzamczu, a o stanie zdrowia Jerzego zawiadomię cię natychmiast po przyjeździe moim do nich.

Twój całém sercem brat

*Zygmunt.*

### *List II.*

ZYGMUNT DO ANIELI.

*Dnia 2 stycznia.*

Dzięki Bogu, obawy z któremi tu jechałem, okazały się płonne. Jerzy chociaż bardzo jest zmieniony, chociaż wycieńczony długim cierpieniem, jednak powoli zaczyna już powracać do sił, i niebezpieczeństwo które przez czas tak długi groziło, dziś już minęło bezpowrotnie. Zostało mu tylko do wysokiego stopnia posunięte rozdrażnienie nerwowe, które tego człowieka tak dotąd łatwego w pożyciu, czyni najwięcej wymagającym i najmniej zadowolonym z ludzi, bo kapryśnym. Wymaganiom chorego nikt nie jest w stanie dogodzić, nawet Tola, tak męża kochająca, tak przytém niewyczerpaną uzbrojona słodyczą; znać też na nią wielkie zmęczenie, ciągle czuwanie przy mężu wyczerpuje jej siły fizyczne, a przebyte obawy i niepokoje złamały w nią hart moralny i wstrząsnęły do głębi całą jej istotą. Pocięgą i pomocą dla obojga jest jedna z tutejszych jej sąsiadek, pani Michalina, która jak słyszę, ma szczególniejszy dar wprawienia Jerzego w dobry humor, uspakajania jego nerwów i co tydzień przyjeżdża tu na dni parę spełniać miłosierne *d'une garde malade* posłannictwo. Pani Michalina jest to młoda, bezdzietna wdowa, a ze wszystkiego, co dotąd o niej słyszałem, wnoszę, że to być musi dziwnie zajmująca kobieta. Dzisiaj właśnie spodziewają się tu jej przybycia, w pierwszym więc moim liście prześlę ci sprawozdanie z wrażenia, jakie mi przyniesie ta znajomość. Dla mnie, ciekawego badacza serc ludzkich, nieznajoma osoba, to jakby zamknięta księga, na którą patrzę z ciekawym niepokojem tak długo aż dobrowolnie lub mimowolnie, księga otworzy mi swe karty.



A nie ma takiej, na której kartach nie możnaby znaleźć pouczającej treści: każda najuboższa duszyczka ma dzieje swoje, szczytne lub płaskie, niepowszednie lub pospolite; każda ma swoje ukochania i wiary, pragnienia i nadzieje, jednem słowem treść swoją, której wyjawieniem przychodzi w pomoc temu, co się sili odgadnąć ostatnie słowo tajemnic ludzkiego ducha. Dla ciebie, Anielo, którejby w podobnych studyach tak pomocną była intuicya kobieca, nie mają one tyle powabu. Ty sercem związana z rodziną, jeżeli kiedy wybiegniesz myślą poza ukochane domu granice, to po to tylko, żeby chciwy wiedzy umysł nowém z bogacie światłem i ze zdobytym skarbem w domowe powrócić zacisze. Tyś już posiadała swoją część szczęścia, ty wzięłaś swoje dziedzictwo kobiece, i pacierz twój nie jest trwożną prośbą, ale modlitwą dziękczynną: po co tobie zgłębiać tajniki ludzkiego ducha i zaprzętać problematami życia myśl, co jeszcze nie straciła dziecięcej pogody, a zyskała już mężką bystrość i siłę? Ale ja... ze mną inaczej się dzieje. W dumie młodości mojej nie pomyślałem nigdy o tém, żeby sobie stworzyć swój własny świat miłości i szczęścia, nie kochałem dotąd nigdy, a serce moje nic nie wie o tych przelotnych miłostkach, które wywołuje krwi młodej gorączka; młodość moja przeszła w nauce i pracy niezmordowanej, chciwie piłem ze studni mądrości, myśląc że mi ta mądrość wszystko inne na świecie zastąpi, że w niej życia Alfa i Omega. Dziś, stojąc na progu dojrzałego wieku, obrachowuję com nabył, a suma moich zdobyczy da się określić cyfrą niesłychanie skromną. Podczas kiedy ty, Anielo, widzisz jasno przed sobą cel życia i idziesz doń z pokorą wspaniałą, kiedy ty wiesz z pewnością co jest prawdą a co fałszem, co trzeba czcić i miłować a co omijać z pogardą; ja tyle tylko zyskałem, że myśl moja, rozdrażniona okruciami zdobytą wiedzą, pełna jest zapytań i niepewności, niezużytkowane dotąd potęgi kochania jak senny olbrzym rzucają się w piersi mojej. Nie powiem żebym cierpiał, ale czuję brak szczęścia i namiętną za niem tęsknotę.

Myślałem dziś o tém wszystkiem, słuchając Toli, która na żądanie Jerzego usiadła do fortepianu i śpiewała półgłosem tokańską piosenkę ludową, której nuta płacze i modli się gorączkową tęsknotą, niespokojném serca pragnieniem:

„Se io potessi aver nel mio core  
 Oh! che dolcezza! un lungo sguardo d'amore!  
 Se io potessi aver nel mio petto  
 Oh! che dolcezza! un lungo sguardo diletto!”

(O gdybym mógł mieć w mém sercu,  
 O jakaż słodycz! długie miłości spojrzenie,  
 Gdybym mógł mieć w mém sercu,  
 O jakaż słodycz! długie miłości spojrzenie!)

— Kto cię nauczył téj piosenki?—spytałem, widząc że gra z pamięci—nie słyszałem nigdy téj melodii tak prostéj i rzewnéj a tak namiętnej razem.

— To ulubiony śpiew Michaliny—odparła spytana—przywiozła go z Włoch, schwytawszy na ustach toskańskiego *contadino*: od niéj i ja się nauczyłam.

— Czy ładnie śpiewa pani Michalina?—pytałem jeszcze.

— Głos ma prześliczny, ale nie lubi śpiewać przy obcych, a jeżeli czasem znudzona prośbami zaśpiewa, to tak jakoś ośchle i bez wyrazu, że tylko można ocenić wyrobienie i rozległą skalę jéj głosu.

„Se io potessi aver nel mio core  
 Oh! che dolcezza! un lungo sguardo d'amore”

(O gdybym mógł mieć w mém sercu  
 O jakaż słodycz! długie miłosne spojrzenie)

machinalnie prawie powtórzyłem słowa piosenki i tknięty ciekawością, dorzuciłem:—Więc dla wybranych tylko a raczej dla wybranego, pani Michalina prawdziwie dobrze śpiewa? bo musi już mieć w sercu *un lungo sguardo d'amore*?

— Jakiś ty ciekawy, Zygmuncie!—zaśmiała się Tola i po chwili dodała poważniej:—Nie!.. chyba nie ma takiego spojrzenia w jéj sercu, a zresztą... któż wie, co ma w sercu taka jak Michalina kobieta? O sobie nigdy nie mówi, z każdego żywszego objawu uczucia, który w drugich dostrzeże, śmieje się i żartuje niemiłosiernie, a ironią swoją i chłodem trzyma na wodzy ludzką ciekawość, nie dając się nikomu ująć i wybadać. Znam ją, kocham, cenię niepospolite jéj zalety, jesteście z sobą w bardzo przyjaznym stosunku, ale nie wiem o jéj życiu wewnętrzném i prawdziwéj treści jéj

serca. Nigdy ją o nic nie pytam, bo wiem że zbyłaby mnie żarcikami.

— A męża, czy bardzo kochała pani Michalina? — pytałem dalej, zajęty słowami Toli, które przedstawiały mój wyobraźni jakąś oryginalną osobistość.

— I tego nie wiem — wiem tylko, że on ją kochał szalenie. Jednak wydawali się z sobą bardzo szczęśliwi i Michalina ciężko przebolewała śmierć męża.

Milczałem zamyślony, puszczać wonny dym z cygara. Tola zaspokoiwszy moją ciekawość, widząc że ją o nic więcej nie pytam, zwróciła rozmowę na inny przedmiot. Jerzy na całe lato wyjeżdża do wód i morskich kąpiel. Tola zawczasu się kłopotce, że nie potrafi poradzić sobie z gospodarstwem i widziałem że bardzo pragnie, abym w czasie dłuższej niebytności Jerzego, zastąpił go tutaj, a nie śmię wręcz mnie o to poprosić. Uprzedzając więc życzenie bratowej, przyrzekłem jej, że na całe lato przyjadę do Podzamcza i odebrałem za to bardzo serdeczne podziękowanie. Zabawię tu jeszcze parę tygodni, a potem pojedę do siebie, gdzie będę mógł zabawić aż do maja, bo w maju zaledwie wyjeżdża Jerzy za granicę. Dzięki więc temu układowi, zobaczymy się prędzej niż myślałem, tymczasem nie zaniedbam ci donieść wszystkiego, co cię tu obchodzić mogło.

*Zygmunt.*

### *List III.*

ZYGMUNT DO ANIELI.

*D. 5 stycznia.*

Jerzy ma się coraz lepiej, silniejszy, mniej rozdrażniony, a w ślad za tém polepszeniem, powraca w nasze kółko domowe spokój i swoboda, tak długo obce biednej Toli. Po części téż korzystnie wpływa na jego zdrowie powiększenie zwykłego naszego towarzystwa; od trzech dni bowiem bawi tu pani Michalina, a nazajutrz po niej przybyła ciotka Toli, pani baronowa N. z córką, śliczną panną Julią. Złoto-włosa, czarnooka, pełna zachwycającego wdzięku, istnieje do rusałki podobna, panna Julia jest jedną z najsympatyczniejszych istot, jakie w życiu mojem zaznałem. Natura to



*par excellence* kobieca, serdeczna i miękka, a gruntowne wykształcenie, nadając jej myśli trzeźwy i zdrowy kierunek, broni ją od chorobliwego marzycielstwa i śmiesznej egzaltacji, która tylko niedowarzone głowy napada. Wpływy życia i wychowania nie wypaczyły jej moralnej istoty, nie przemieniły klejnotu darów bożych na marny szych światowych pojęć, z kobiety-człowieka nie starały się zrobić lalczki. Wyrosła prześlicznie i bujnie, rozwinęła się bogato i silnie, jak kwiat umiejętną pielęgnowany ręką i ma wspinały wdzięk lilii, której prostej łodygi sztuczne wpływy zwichnąć nie mogą. Powtarzam ci, nie spotkałem więcej sympatycznej istoty, istoty któraby spojrzeniem tyle prawdziwego przyrzekała szczęścia.

A pani Michalina?—zapytasz. Pani Michalina, którą tak ciekawie pragnąłem poznać, jest zaiste osobą wzbudzającą ciekawość. Zanim jednak opiszę ci jej powierzchowność, muszę ci pierwej powtórzyć najdrobniejsze szczegóły naszego spotkania, bo na wrażeniu pierwszej chwili wszystko często zależy.

W kilka godzin, po wyprawieniu do ciebie ostatniego mojego listu, siedziałem w pokoju Jerzego zajęty czytaniem, gdy wtém turkot kół, tętniących po zmarzłej ziemi, przerwał czytanie moje. Zwabiona tym odgłosem co jej zapowiadał spodziewane przybycie Michaliny, wybiegła Tola do sieni; wyszedłem i ja za nią z wolna, trochę nierad, że przybycie gości przerwało mi czytanie zajmującej książki. W sieni zastałem już obie kobiety, witające się serdecznym uściskiem.

— Jakże się ma mąż twój?—pytała nowo-przybyła, której twarzy nie mogłem jeszcze widzieć, bo plecami obróconą była do drzwi, w których ja stałem—czy zdrowszy? pytała jeszcze, a głos jej miękki i cichy, dziwnie sympatyczny, zadzwonił mi w uchu jak muzyka.

— Dziękuję ci, znacznie jest lepiej—odparła Tola, zdejmując z jej głowy aksamitny kapturek—ucieszył się przybyciem Zygmunta; wiedząc że ma wyręczenie, nie tyle się troszczy o interesa i to się znacznie przyczyniło do uspokojenia jego nerwów. Wyleczysz mi go do reszty, śliczna moja bałamutko.

— Zygmunt, brat mego męża—dodała widząc że się zbliżam, by pomódz pani Michalinie do zrzucenia otulającego ją futra.

W odpowiedzi na to przedstawienie, sztywnie skłoniła mi głowę i nie patrząc prawie na mnie, wysunęła się z futra, które zostało w moich rękach. W téj chwili blisko niej stojąc, objąłem ją wzrokiem ciekawie, ona także oczy podniosła; wejrzenie moje podziwu i zachwytu pełne, spotkało w dal patrzące jéj oczy, których wzrok mimochodem tylko spoczawszy na mojej twarzy, zatrzymał się potem na niej, jakby z wyrazem zapytania.

Staliśmy tak przez chwilę, krótką jak mgnienie oka, oboje na siebie zapatrzeni. Kobieta otrząsnęła się pierwsza z tego mimowolnego roztargnienia.

— Znamy się nie znając—rzekła do mnie—Tola tyle razy mówiła mi o panu, tak się tu niepokojono długą niebytnością pana, że mimowoli, nieraz myśl moja zajmowała się panem.

I wymówiwszy te słowa głosem dziwnie obojętnym, nie czekając nawet na moją odpowiedź, dodała zwracając się do Toli:

— Chodźmy do twego męża; czy spodziewaliście się mnie dzisiaj?

I weszły obie do pokoju Jerzego, gdzie po chwili i ja się udałem, a podczas kiedy między niemi trojgiem toczyła się poufna rozmowa przyjazna, ja w milczeniu przyglądałem się z uwagą młodej kobiecie.

Średniego wzrostu, bardzo wątłej budowy, z rączką i nóżką jak u dziecka małą, pani Michalina ma twarz owalną, rysy delikatne ale wyraźne, wysokie czoło i nos trochę z rzymska zgarbiony; usta prześlicznego wykroju, wyraziste a uśmiechające się bardzo rzadko; oczy podługne kształtem, osadzone głęboko, a ciemno-szafirowe aksamitne ich źrenice dziwną i ładną odbijają sprzecznością od czarnych włosów, brwi i rzęsy czarnéj. Nie powiem żeby była śliczna, albo nawet ładna, bo za mało na to ma wdzięku; prędzej piękną nazwaćby ją można.... ale ja wolę inny rodzaj piękności. Dla mnie, piękną jest kobieta z poza której rysów, jak z za kryształowej tafli prześwieca treść jéj ducha, treść prosta i zrozumiała, w której nie zgadywać, niczego

się domyslać nie trzeba; kobietą prawdziwie w oczach moich piękną, jest ta, która mi się wydaje promieniem wesela i szczerym uśmiechem, ujętym w kształt piękny a silny, jak starogreckich posągów kształty. „*Mens sana in corpore sano*”—mawiali starożytni, i ja to powtarzam wraz z nimi... Przestraszają mnie te wątłe istoty, w których dusza albo nie dorosła przynależnej sobie godności, albo też dorósłszy, zużywa sobą i niszczy osłonę ciała, niezaopatrzonego w odpowiednie siły fizyczne. Pani Michalina nie także niema w sobie kobiecej miękkości, nie tego, co jest wdziękiem i łagodnym urokiem kobiety, a jednak może zachwycić oryginalnym powabem swoim. W spoczynku, twarz jęj jak wszystkie twarze o bardzo regularnych rysach, ma wyraz surowy, może nawet ostry; z po za długich rzęs skrzyżowanych, spojrzenie jęj pada na ciebie niedbale i własnymi snąc myślami roztargnione, mija cię obojętnie; ale gdy się w rozmowie ożywi, gdy się uśmiechnąć raczy, to uśmiech jęj pociągającym przymila ci się wdziękiem, a oczy jęj rozumnym, bystrym i przecudownie pięknym obrzuca cię spojrzeniem. Znasz ty Anielo, to ludowe podanie, które mówi że na tych miejscach gdzie leżą skarby zaklęte migocze błędny ogień, co wabi ku sobie wędrowców i chciwych a nieostrożnych z bitęj drogi na topiele sprowadza? Otóż są chwile, w których taką tajemniczą jasnością ognikową palą się ciemne źrenice i błyskawicami wołają cię ku sobie; może to także błędny ogień zwodniczy, co ma nieprzepartą i groźną siłę czaru? Ogólny wyraz twarzy pani Michaliny nie da się określić z łatwością. Snać życie nie poszło jęj łatwo, snąc musiała się łamać z myślą, czy może z sercem własnym, bo chwilami jęj czoło, lekko między brwiami ściągnięte, chmurzy się zamyśleniem surowym; w oczach maluje się znużenie, na ustach osiada wyraz gorzkiego zniechęcenia. Ale po tęg chwili przelotnęg jak błyskawica znówu na czoło powraca spokój; ten dumny, bez nadzieiny spokój, co jest tylko cnotą z konieczności, zdobytą żelaznym wysiłkiem woli. W obejściu chłodna jest aż do szorstkości i aż do apatii obojętna; leniwa jak kotek, i jak kotek na słońcu, tak ona się układa w fotelu, szukając dla siebie najwygodniejszęg pozycyi; ale pod tą apatią lodowatą czuć niewygaste jeszcze, przytłumione tylko młodych uczuć pło-



mienie; pod tém miękkim rozleniwieniem czuć siłę tajoną, ukrywaną zazdrośnie—dlaczego? ja nie wiem... Burze życia przechodziły jęj widać nad głową i odebrały wiarę w szczęście, zostawując zdolność odczucia go; kto wie? pragnienie jego może i razem tę obawę przyszłości, którą daje smutne doświadczenie życia. Rozmowa jęj pełna jest treści; znać że ta kobieta nietylko dużo umie, ale też przemyślała poważnie i dużo; że nietylko refleksyą ale i cierpieniem także, kupiła sobie świadomość nie jednej prawdy życiowej, a mimo to zwrot jęj myśli jest właśnie taki, jaki Francuzi *un esprit mordant* nazywają; niedbale, od niechcienia kąsa drwiącém słówkiem, dowcip jęj kolący jest i ostry, a na tych młodych ustach taka cierpka ironia smutną razi sprzecznością. Kto wie? może i tu się powtarza bajeczka o winogronach zbyt wysoko zawieszonych; może w głębi duszy swojej, ta kobieta tak jeszcze młoda, wielu podobnym winogronom dać już musiała za wygraną i smutna a bezsilna jak zbuntowane dziecko, własnym smutkom uraga dowcipkowaniem?

Słuchałem słów jęj, pieszcząc ucho precudnemi modulacyami jęj głosu, patrząc w nią jak w obraz, którego barwy mieniły mi się w oczach co chwila. Strój jęj poważny a wdzięczny, doskonale harmonizował z całą jęj postacią. Włosy połamane w kapryśne karby, w górę podniesione, odsłaniały inteligentne czoło i malowniczo falowały nad skronią niebieskimi żyłkami porysowaną, z tyłu w wielki węzeł związane, uwydatniały foremny kształt głowy, bogate i lśniące ich zwoje przesłaniała czarna koronka, której końce lekko pod brodę związane, przezroczystym obejmowały szlakiem delikatny profil twarzy. Czarna suknia z ciężkiej materii wełnianej, długa, powłóczysta, z gładkim, pod szyję zapiętym stanikiem, rysowała figurę mającą jeszcze wysmukłe kształty pierwszej młodości, a biała kamelia za paskiem wetknięta, odbijając od żałobnej powagi ubrania, jeszcze świeższą i piękniejszą się wydawała.

Tola wyszła, zawołana na pomoc przez matkę, bo na pani Morskiej spoczywa tu teraz cały ciężar zajęć domowych; Jerzy zmęczony długą rozmową, wpół drżemiąc leżał na łóżku, zostaliśmy sami prawie, milcząc oboje. Zmrok już zapadał, resztki jasności dziennęj tonały w blasku ko-



minkowego ognia, którego jaskrawe płomienie odbijały się w oczach kobiety i łamały się cieniem na jej twarzy. Milczała ciągle, nie zdając się prawie zwracać na mnie uwagi; jam długo ważył w myśli od czegoby zacząć rozmowę i jak to zwykle się zdarza, coraz mi trudniej było wynaleźć coś, coby wartém było powiedzenia. Tymczasem ogień kominka niczém niepodsycały, gasł i konał z wolna, czerwonym tylko pół-swiatłem broniąc nas od ciemności zupełnych.

— Dołoż pan drzewa na kominek—rzekła wreszcie pani Michałina, nie zwracając ku mnie oczu, uparcie wlepionych w żarzące ognisko—nie trzeba żebyśmy przez lenistwo tracili ślicznego towarzysza.

— Pani tak lubisz ogień?—pytałem, i posłuszny jej żądaniu przykląknę na posadzce, żeby zgrabnie i systematycznie ułożyć suche drewka.

— Bardzo—odparła—lubię go za to, że taki ładny, wesoły i pełen powabu... a parzy tych, co się doń zbyt śmiało zbliżają.

— I pokrzywa potrafi to samo.

— Ja też i ją bardzo lubię; więcéj powiem, całém sercem zazdroszczę jej losu: to najszcześliwsza pod słońcem istota. Wszem w ogóle i każdemu po szczególe wiadomo że pokrzywa jest to niepocziwe ziele, które parzy; dzięki więc złój sławie jaką się cieszy stoi sobie spokojnie i przez każdego ostrożnie jest omijana. Ciekawi, pseudo-amatorowie botaniki, zbieracze bukietów, sentymentalne dziewczynki, co się lubią stroić w leśne kwiatki, nikt ją nie zaczepia wcale. Pokrzywa robi co chce, rośnie i łamie się, usycha albo też obfitym buja liściem: nikt jej nie dotyka, nikt nie próbuje naginać ją po swojej woli... Nieraz doprawdy żałuję że nie jestem pokrzywą.

Hm! — pomyślałem w duchu — sądząc z tego co słyszę, nie ręczę czy i pani jak pokrzywa parzyć nie umiesz. Przemilczałem jednak to spostrzeżenie i podniecając ogień dopóty, aż spiętrzone drewka żywym buchnęły płomieniem, rzekłem wtedy z uśmiechem:

— Otóż i na wdzięczność pani zasłużyłem już sobie: ogień doskonale się pali.

— Bynajmniej—żywo zaprotestowała kobieta—żadna wdzięczność nie należy się panu odemnie. Rozpalając ogień,

nietylko mnie ale i sobie razem zrobiłeś pan wielką przyjemność, a że ta fatyga była niewielka, więc procent masz pan dostateczny i byłoby to lichwiarskiem zdzierstwem, gdybyś pan jeszcze co więcej żądał.

— Nie koniecznie—odparłem—gdyby naprzykład ten ogień taki wesoły i jasny był dla pani miłym wspomnieniem? i dlatego tylko tak lubionym od pani?

— Ja żadnych nie mam wspomnień—zwolna i cicho odrzekła—żyję z dnia na dzień, chwili wczorajszej zapominając już dzisiaj rano.

— A dziś wieczorem, nie myśliszże pani o jutrze?

— Nie, niczego nie żałuję ani téż nie pragnę niczego: wystarcza mi teraźniejszość.

— Daruj pani, ale nie mogę wierzyć temu dziwnemu wyznaniu wiary.

— Dlaczego? — żywo przerwała, wzrokiem i słowem rzucając mi pytanie.

— Dlatego — mówiłem — że bez pragnień i nadziei człowiek żyć nie może. To ciągłe przetrawianie pamięcią chwili minionéj, ta wiecznie niezaspokojona ku *nieznanemu* aspiracya, to składowa część ducha ludzkiego. Ślady jéj działalności wykaże pani historia wszelkich zdobyczy, jakie ludzkość odniosła na polu oświaty, wiedzy i moralnego postępu, jak również i najpospolitszego żywota historia.

— Więc pan w to wierzysz, że są tacy którzy nic zupełnie nie pragną, bo wiedzą że nic nie dostaną.

Spojrzałem uważnie na kobietę, która spowiadając się z tego czarnego zniechęcenia, co jest już szczytem nędzy ludzkiej, mówiła do mnie tak obojętnym głosem, jakby o zwykłym wypadku codziennego życia. Nie mogłem dostrzedz wyrazu jéj oczu, taiła go długich rzęs zasłona, na ustach był ten sam, co zwykle wyraz: na poły ironiczny, na poły zniechęcony boleśnie.

— Wiem że są tacy—rzekłem, nie spuszczać oka z jéj twarzy —ale ta beznadziejowa apatya, co już nawet nie ma siły być rozpaczą, to skąrowacenie i kalectwo moralne, to rdza co przejada i pleśń co brudzi wewnętrzną istotę człowieka. Taka apatya byłaby ostateczną zatrutą ducha, gdyby człowiek co niczego spodziewać się już nie śmie, nie broił się przeciw śmierci duchowój siłą wspomnień i gorącą

ich miłością. Rozwój jednej z tych władz równoważy ubytek drugiej, istota myśląca żałuje albo się spodziewa, wspomina lub pragnie, nie żyje z dnia na dzień jak twór bezduszny... a jeżeli ją do tego zła ciągnie pokusa, to walczy z pokusą jak ze zbrodnią. Obmówiłaś się pani szkaradnie.

— Pan widzę lubisz wielkie słowa i szumne frazesa — rzekła mi na to pani Michalina ze swoją uszczypliwą ironią — a dla mnie są one po większej części pustym dźwiękiem bez znaczenia. Nie zrozumiałam i dziesiątej części z tego, coś pan powiedział przed chwilą, a co zapewne musiało być niezmiernie ładnem. Ja się panu przechwalam ślimaczym, bardzo prozaicznym ale bardzo wygodnym spokojem mego życia, tym prawdziwie gospodarskim ładem, jaki w nie wprowadziłam, zostawiając miejsce na kształcenie myśli, na ciągły jej rozwój, zabraniając go na wszystko, co jest sentymentalnością i z kobiety robi mazgaja, a pan te wszystkie moje bogactwa chcesz wyrzucić za okno w imię...

— W imię prawdy, która takie bogactwo potępia. Użyję słów poetki aby pani powiedzieć, że takim było „bogactwo Izraelitów siedzących nad garnkiem czosnku w niewoli Egipskiej”.

— Doskonałe porównanie! — zawołała — tém lepsze że nie górnotłocne... ale nie dałeś mi pan skończyć. W imię teorii bardzo może pięknych, idealnie pięknych, ale jak wszelki ideał niepraktycznych, zabierasz mi pan wszystko com sobie po drogach życia zebrała i wzięła na własność swoją. Zkąd pan wiesz ile mnie te nabytki kosztują? Mówisz mi pan o walce i pasowaniu się, każesz żyć całą pełnią władz duszy, każesz pamiętać, kiedy pamięć jest mi może ciężkim bólem serca; pragnąć, kiedy się może pragnienie moje nie spełni i tylko nowy ból mi przyniesie... czy pan nie wiesz że takie życie to cierpienie.

— Ale życie w całym znaczeniu tego słowa, życie walki, co jedność ducha rozwija i hart mu nadaje stalowy, życie pełne, zupełne i wszechstronne...

— Ale i cierpienie także — z mocą i jakby rozżalona odparła mi na to kobieta — cierpienie... straszne słowo a rzecz straszniejsza jeszcze — a ja cierpieć nie chcę. Walka, powiadasz pan, hart nadaje stalowy? może... ale nie zawsze. Są duchy które ona łamie, lub też tak nieszczęśnie wypaczy,



że życie ludzkie z myślą bożą rozbiegnie się na dwa krańce przeciwległe.

— Pani zapominasz, że wedle chrześcijańskich pojęć, cierpienie pokornie przyjęte, stanowi zasługę...

— I to być może; ale na te wszystkie piękne i wzniosłe argumenta mam ochotę odpowiedzieć panu przysłowiem, bardzo dobrze rzecz okręslającym, chociaż niestety bardzo prostém...

— Jakiém? — pytałem, patrząc w jej oczy, blaskami w téj chwili płonące.

— „*I kaszy ne chcuzu i po wodu ne pidu*” szepnęła z figlarnym uśmiechem dziecka. Przepraszam pana—dodała zaraz potem z ironiczną powagą, że z eterów, po których jak widzę przywykłeś pan spacerować, ściągnęłam go na ziemię... Bardzo przepraszam, ale chciéj pan to uwzględnić że mnie biednej, małodusznej istocie daleko tu jakoś wygodniéj: czuję się na swoim gruncie.

— Wolno pani jako pani—rzekłem lekko głowę przed nią skłaniając—żał mi jednak pani, żał bardzo...

— Doprawdy? — spytała zamyślona — pan mnie tak bardzo żałujesz? a ja właśnie nie lubię tego. Zresztą, to żał zmarnowany, jam najszczęśliwsza istota pod słońcem.

I rzucając w ogień kamelią, którą się bawiła przez czas téj rozmowy, dodała jeszcze:

— Żałuj pan lepiéj tego biednego kwiatka, który nie wiem po co zerwałam i pobawiwszy się nim chwilę, przestałam dbać o niego. A szkoda! szkoda prawdziwie! byłby kwiatek kwitł sobie spokojnie...

W téj chwili, ostrożnie, na paluszkach wbiegła mała Jadwisia, obejrzała się po pokoju, jakby kogoś szukając i zobaczywszy panią Michalinę, rzuciła się do niej z radością:

— Jak się masz Wisienko moja—mówiła biorąc ją na kolana i pieszcząc pocałunkami śliczną dziecinę, którą ją rączkami objęła za szyję—jak się masz? czy grzeczna tu była dziewczynka? czy tęskniła za ciocią Misią?

Podczas gdy Wisienka zajmując całą jej uwagę, opowiadała jej w swoim dziecinném narzeczu, coś czego ja zrozumieć nie mogłem, patrzyłem na kwiatek, którego delikatne listeczki, objęte żarzącym uściskiem płomienia, kur-



czyły się i wiedły... Pani Michalina nie patrzyła na mnie w tej chwili, pochyliłem się więc nieznacznie i pochwyciwszy za niezwęgloną jeszcze łodygę, wyrwałem z płomieni ofiarę kobiecego kaprysu. Powiedz mi Aniello, czy ta dziwna kobieta, której uśmiech, wejrzenie i słowo, wzajemnie sobie zaprzeczając, splatają się w pasmo nierozwikłanych zagadek, czy ta kobieta i z cudzém sercem potrafiłaby zrobić to samo, co z kwiatkiem, który w ogień rzuciła?

*Zygmunt.*



### *List IV.*

ANIELA DO ZYGMUNTA.

*dnia 15 stycznia.*

Mój bracie, mój Zygmuncie ukochany, o ile rada jestem dobrym wieściom o zdrowiu Jerzego i nadziei zobaczenia cię przedź, niż mi się tego pozwalał spodziewać twój list pierwszy, o tyle smuci mnie i niepokoi wiadomość, że całe lato przepędzisz w Podzamczu. Kto inny śmiałby się może z przyczyny mego niepokoj; ty, znający całą wielkość przywiązania jakie mam dla ciebie, nie będziesz lekce ważył kobiecego przeczucia i z uwagą przeczytasz słowa moje. Słuchaj Zygmuncie, ja się dla ciebie boję tej pani Michaliny. Znam ją, widywałam ją nie raz w towarzystwach, gdzie królowała tym oryginalnym powabem, którego potęgi nikt zaprzeczyć nie może; wiem że jest piękną i niebezpieczną, że w oczach ma płomienie a w sercu chłód niczem nie rozgrzany, że jest rozumna i szyderska, że uśmiechem pociąga a ironią słowa odpycha; wiem, że siły swojej próbować lubi: ja ję się boję dla ciebie. Jakie wpływy ulepiły serce kobiety z tej dziwacznej mieszaniny chłodu i rzewności, serdecznych porywów i drwinek lodowatych, młodego zapału i apatii wystygłej, co przeboleła, jaka była ję przeszłość sercowa? ja nie wiem. Od osoby, która na całe ję życie patrzyła (od pani Natalii blizkiej mojej sąsiadki, a związanej z panią Michaliną stosunkami dawniej przyjaźni) wiem tyle tylko, że ta przeszłość jest czystą jak ła, że ta kobieta ma surowe pojęcie obowiązku, zdrowe życia zasady, że nigdy nie

uchyliła im w niczém. Ale przyznam ci się Zygmuncie, że dla mnie stracone są te namiętne istoty, którym ani pochwała własnego sumienia nie może dać spokoju i uciszenia wewnętrznego, ani czyjaś miłość najgorętsza, wzajemności obudzić nie potrafi. Takie serce otchłaniać być musi i jak otchłani przeraża mnie niewymownie; co mi z tego, że na dnie jój świecą czyste kryształy, kiedy te kryształy, to ostre złomy lodu o które się roztrąci i zmiążdży wszystko, co w otchłani ową wpada? Ta kobieta nikogo nie kocha, nikomu nawet miłości nie przyrzeka, ale chce i pragnie być kochaną, bo jój do życia ta gorączka wrażeń potrzebna. Tych, którzy sile jój niemego rozkazu oprzeć się nie umieją, doprowadza do ostatnich granic rozpacz i zrozpaczonych, szalejących, rzuca z obojętném ruszeniem ramion, nie starając się nawet wydobyć ich z téj czarnej toni, dokąd ich sama zaprowadziła swoim fatalnym urokiem. Powtarzam ci te szczegóły o jój charakterze słyszane od osoby, która ją przyjaźnie sądzi i pod każdym względem oddaje sprawiedliwość jój zaletom, muszę więc wierzyć, że są prawdziwe i dlatego powtarzam: strzeż się téj czarodziejki, Zygmuncie!

Traf, jakby rozumne zrządzenie Opatrzności, postawił ci przed oczy dwa istotne kontrasty. Nie widziałam Julki odkąd wyrosła na słuszną pannę, ale znałam ją dzieckiem wyrastającym na dziewczynkę, a jeżeli sercem i umysłem dotrzymała obietnic dzieciństwa, to musi być taką błogosławioną istotą, w której władze serdeczne i umysłowe, będące z sobą w zupełnej równowadze, wzajemnie się potęgują i dopełniają. Jeżeli już z prawa konieczności przyszła na ciebie chwila taka, w której oczy kobiety mają ci być światem, a na jój słowie zależeć ma szczęście lub męczarnia życia twojego: to nie w oczy Michaliny patrzaj, Zygmuncie mój drogi, nie ją pytaj o takie słowo. Niech ci kwiat kamelii będzie przestrogą i przykładem; charakter ludzki odrysowuje się najtrafniej w codziennych uczynkach życia. Całem sercem polecam cię Bogu.

*Anielą.*

*List V.*

MICHALINA DO NATALII.

*dnia 7 stycznia.*

Nie gniewaj się na długie milczenie moje, Natalio kochana: z dawien dawna dobrze wiesz o tém, że wtedy tylko nie piszę, kiedy na zewnątrz lub wewnątrz braknie mi treści do pisania. Zresztą w tych ostatnich czasach byłam tak ciągle rozerwaną między domem a Podzamczem, gdzie długa choroba pana Jerzego czyniła mnie użyteczną, że nigdzie nie czując się u siebie, nie mogłam też mieć tyle swobodnej myśli, ile jój potrzeba, żeby tą swoją myślą podzielić się z kimś drugim. I teraz nawet nie z domu, ale z Podzamcza piszę do ciebie. Przyjechałam tu pozawczoraj i jeszcze dni parę zabawię; nie chcą mnie ztąd puszczać, a że nikt na mnie nie czeka w pustym domu moim, więc też nie bardzo się wyrywam do siebie. Siedzę tu, gawędzę, ząbki grzeję u kominka i wcale się nie nudzę, bo mamy bardzo przyjemne towarzystwo. Oprócz baronowej z tą idealnie piękną, do promienia słonecznego podobną Julką, przyjechał także ów gość od tak dawna oczekiwany, pan Zygmunt, o którym się tyle nasłuchiłam od Toli. Nie raz jeden, ale z tysiąc razy przynajmniej mówiła mi Tola, że to ma być człowiek wielkiej zachości charakteru; niepospolicie wykształcony, i w towarzystwie przyjemny i nawet piękny bardzo: jednem słowem nie człowiek, ale doskonałość wcielona; ciekawa też byłam niezmiernie zobaczyć na moje własne oczy taką osobliwą istotę. Ale i pan Zygmunt zapewne także ciekawy, bo pierwsze spojrzenie jakie na mnie rzucił, było spojrzeniem tak usilnie badawczém, że zadziwiona mimo woli zatrzymałam wzrok przez chwilę na téj pięknej i rozumnej twarzy, w której rysach maluje się niezłomna potęga woli i stanowi wybitną cechę jego fizyognomii. Spojrzenie jest głębokie i jasne, pełne myśli i ognia, a uśmiech pociągająco łagodny i razem trochę smutny; całość wielce zajmująca i zupełnie niepospolita: otoż masz rysopis pana Zygmunta, który mi się podobał... nie powiem żeby *bardzo*, bom nie skłonna do tych doraźnych zachwyków, na niczém nie ugruntowanych jeszcze,



ale *więcej* niż wielu innych. Nie wiem... doprawdy nie wiem czy i ja podobałam mu się także; zdaje mi się że kobieta jaką ja jestem, musi być żywym kontrastem wszystkiego, co podobny panu Zygmuntowi człowiek lubi w kobiecie i czego od niej wymaga; a mimo to, widzę że zajmuję myśl jego, że go zaciekawiam, jak nierozwiązana zagadka, jak fenomen psychologiczny może.... Rozmawiamy z sobą dużo i rozmawiamy z mocną wolą poznania się i ocenienia wzajemnej naszej wartości, a choć się rzadko godzimy w naszych zdaniach i poglądach, to rozmowie nie przeszkadza to bynajmniej, owszem coraz nowe podsuwa jej zasoby. Lubię w nim bardzo tę surową powagę z jaką wypowiada swoje zdanie: czujesz i wierzysz że słowo tego człowieka nie jest czczym dźwiękiem, formułką schwytaną w pierwszej lepszej książce i powtarzaną potem bezmyślnie, ale wyrazem przekonania w którym on dotrwa niezłomnie i dowiedzie go cynamem, jak tylko sposobność nadarzy się potemu. I to w nim także lubię, że czując się w prawdzie, ob staje przy niej otwarcie z zapałem i mocą i wiarą głęboką, że *taka* jest prawda nie *insha*, i broni nie składa przez ową tak zwaną „grzeczność dla płci pięknej” która w gruncie jest niczém inném, jak tylko grzeczném lekceważeniem władz umysłowych i wykształcenia kobiety.... Jedném słowem nie mam nic do zarzucenia panu Zygmuntowi, a na jego pochwałę dużoby się dało powiedzieć. Zdobyłabym się może na jakiś wspaniały dytyramb, ale od rana do wieczora, Tola na wszystkie tony śpiewa jego pochwały, a że jednostajność zawsze w końcu znudzi, więc pragnęłabym wynaleźć w nim jakąś wadę, choćby dla różnaitości tylko. W tym chwalebny cel wzięłam pana Zygmunta za przedmiot moich obserwacyj. Czasu na te studia mam dosyć, bo mój przedmiot choć nie długo do siebie odjeżdża, jednak całe lato przepędzi w Podzamczu. Czego się dowiem, tém zaraz podzielę się z tobą.

*Michalina.*



*List VI.*

NATALIA DO MICHALINY.

*dnia 18 stycznia.*

Więc poznałaś pana Zygmunta? bardzom z tego rada dla ciebie. Ja nie znam go osobiście, słyszałam o nim jednak tak dużo a wszystko tak jednoznacznie pochwalne, że utworzyłam już sobie o nim mój sąd własny i mocno wierzę, że to musi być człowiek niezaprzeczonej wyższości charakteru któremu wysokiego uznania odmówić nie mogę, chociaż przejmuję mnie on pewnym rodzajem obawy, jak wszelka siła samoistna, co przechodzi granice powszedniości. Przy namiętnej sile uczucia, musi w nim być taka wielka potęga woli, że w danym razie w imię godności swojej i dumy, we własnym sercu uczucie złamać potrafi; a jeśli miłość jego mogłaby powagą i prawdą swoją raj szczęścia otworzyć kobiecie, to chyba z lekceważenia téj miłości nie przebaczyłby on nigdy i posłuszny pierwszemu porywowi namiętności, zemściłby się za zadaną sobie obrazę tą wspaniałą zemstą ludzi gwałtownych ale szlachetnych, którzy chcąc w drugich ugodzić, samych siebie ranią śmiertelnie. Pamiętaj Michalino, na wyrazy i uśmiechy rachować się trzeba uważnie z takimi ludźmi, bo w surowej powadze swoich zasad nie pojmują oni życia na żart, i słów na wiatr rzucanych, dziś wymówionych a zapomnianych już jutro; sami dając prawdę szczerą, prawdy téż nie blichtru wymagają od drugich.... Oto masz moje o nim zdanie, złożone z zestawienia sądów cudzych. Wierzę że osobistość tak wybitnie odrębna od tych zwykłych postaci, co nam się snują przed oczyma, jedna do drugiej podobne jak nawpół zatarte starych monet profile, zwrócić mogła uwagę twoją; wierzę że ci się podobał, nie „więcej od wielu innych” jak powiadasz niedbale, ale więcej niż chcesz powiedzieć. W każdym razie, dalszych szczegółów o waszej znajomości czekam z ciekawością tak silną, że z niepokojem prawie graniczy: nie każe mi długo czekać Michalino.

*Natalia.*

*List VII.*

ZYG MUNT DO ANIELI.

*dnia 3 lutego.*

Od miesiąca przeszło tu siedzę, wyjeżdżam więc jutro do siebie, wyjeżdżam tęskniąc za chwilą powrotu w te strony, gdzie zostawiam wszystko, co mi jest przyszłego szczęścia nadzieją. Nie wiem, droga moja Aniello, o ile pokażą się uzasadnionemi obawy twoje o mnie, wywołane poznanie pani Michaliny, ale widać ta siła tajemnicza która ludzi ciągnie ku sobie i jedno do drugiego przykuwa na resztę życia, musi być siłą nieprzepartą, wszechmocną, kiedy nawet obrończa potęga twojej dla mnie miłości nie zdołała mnie ustrzedz od jej wpływu. W pierwszém spojrzeniu rzuceném na tę Michalinę było już uwielbienie namiętne, pierwsze zamienione z nią słowa oddźwiękły mi w sercu, nie znaną jeszcze a przedziwnie piękną nutą. Co mi ta miłość przyniesie? czy mi da szczęście, czy męczarnie? ja nie wiem: wiem tylko, że mi nawet nie przyszło na myśl spierać się z tém uczuciem, że mi się poddał bez walki, jak się człowiek konieczności poddaje i że w niém mieści się cała przyszłość moja. Dlatego więc właśnie, nierozważnym pośpiechem nie chcę marnować przyszłości, szalone bicie serca miarkuję chłodnym rozsądkiem, a usta moje nie zapytały jeszcze Michaliny, czy rozumie gorącą wymowę mego wzroku i z jakich uczuć wyrazem oczy jej zwracają się ku mnie tak często? Nie pytałem jej o to, chociaż słowo zapytania sto razy drgało i konało mi na ustach, chociaż nawet łagodny i miękki blask jej spojrzenia przyrzeka, że zapytana, dałaby mi dobrą odpowiedź. Więc zapytasz mnie może Aniello, dlaczego milczę? Milczę, bo chcę, żeby gmach mego szczęścia stanął na podstawie trzeźwej rozwagi, nie chwilowego uniesienia; chcę, żeby słowo kochania, którem mi ona może odpowie, nie było wywołane przemocą mojej prośby namiętnej, ale wybiegło z ust jej poważne, jak wyraz przekonania; żeby w tém własnowolném wyznaniu kobiety, była nie tylko obietnica szczęścia dla mnie, ale razem i prośba o szczęście dla niej; chcę, żeby mi się oddała sama z radością i wiarą, że ze mną tylko

dobrze jój będzie, że bezemnie życia nie pojmuje, jak ja dzisiaj nie pojmuje go bez niej.... dlatego czekam i milczę. Musi być cierpliwem i spokojnem wszystko, co chce być trwałem i dla przyszłości owocnem.

Wczoraj, chcąc Michalinę pożegnać, pojechałem po raz pierwszy do Książyna. Po raz pierwszy dopiero, bo chociaż zapraszając do siebie Tolę, wspomniła mimochodem: „może i pan Zygmunt zechce ci towarzyszyć w tych odwiedzinach,” że jednak Tola mimo ciągłego wybierania się do niej, jakoś nigdy wybrać się nie mogła: i ja przeto nie korzystałem dotąd z tych zaprosin tak nawiasowych, że nie wiem nawet czy można je nazwać zaprosinami. Ale wczoraj sama już grzeczność nakazywała złożyć pożegnalną wizytę. Tola także miała jechać zemną, potem jakiś kaprys Jerzego, który przywykł mieć ciągle przy sobie żonę, zatrzymał ją w domu; pojechałem więc sam, zbrojąc się w trudną odwagę milczenia.

Zajęty myślami, nie spostrzegłem, jakim ujechał ćwierć mili dzielącą Książyn od Podzamcza. Ocknąłem się dopiero z zamyślenia w chwili, kiedy zgrzane prędkim biegiem konie zatrzymały się parskając przed oszklonym ganikiem domu, zbudowanego na wzór domków letnich szwajcarskich. Zanim wszedłem do środka, obejrzałem się uważnie w około siebie, bo wszystko co otacza człowieka i nosi na sobie cechę jego działalności, musi téż malować jego nawyknienia, upodobania, jest najwierniejszém odbiciem jego osobistości, a wiedziałem już od Toli, że dom w Książynie postawiony jest świeżo; słusznie zatem wnosiłem, że gust Michaliny musiał odgrywać przeważną rolę w jego budowie i urządzeniu. Dom ten stojący na wzgórzu, opasany w około nadpowietrzną galeryą, wspartą na wysmukłych rzeźbionych słupach, cały strojny w drewnianych rzeźb koronki, wygląda zewnątrz jak cacko wykwentne; przed nim rozciąga się obszerny dziedziniec, znać utrzymywany starannie: pełno na nim krzewów i kwiatów, dziś jeszcze sterczących nagiemi gałęziami, ale w lecie ślicznie tu być musi, kwieci-sto i zielono, a przez duże okna domu woń kwiatów razem z promieniami słońca wbiegać może do środka swobodnie.

Prowadzony przez starego sługę, który wyszedł na moje spotkanie, przeszedłszy sieni obszerną i jakiś pierwszy po-



kój, wszedłem do saloniku, gdzie nie było w téj chwili nikogo. Wielki chart czarny z siercią jak atlas połyskliwą, drzémał wygodnie przed kominkiem i obudzony mojem wejściem podniósł się z wesołym podskokiem, żeby przybyłemu ustąpić miejsce swoje u ciepłego ogniska. Fotel stojący nie daleko kominka, a przed nim stoliczek z książką i znać nie dawno porzuconą robotką, świadczyły, że ten kątek najczęściej zajmuje pani domu. Na miękkim aksamicie poduszki leżącej na posadzce wyciśnięty był jeszcze ślad jęj nóżki malutkiej, na pulpicie fortepianu leżała partycja Halki, otwarta na karcie owęj aryi tak precudownie pięknej, tak rozte-sknionęj miękko: „gdyby ranném słońkiem,” na ścianach parę dobrych obrazów i sztychów starannie dobranych, w oknach pełno kwiatów, hyacyntów, róż i kamelij różnokolorowych i prześlicznych a wątlých azalej, ozłoconych przedzacho-dnim, ukośnym słońca promieniem, z drzwi do oranżeryi otwartych świeże, woniami przesycone wiało powietrze, w około cisza przerywana tylko monotonnym odgłosem zegarowego chodu, a w najdrobniejszych szczegółach urządzenia przebija się jakiś ład wytworny, wrodzone zamiłowanie piękna, wraz z umiejętném jego pocuciem.

Stałem oczarowany harmonijnym wdziękiem tego cichego zakątka, w którym upływa samotne i zapewne smutne w tém osamotnieniu swojem życie kobiety, z któręj ust nikt jeszcze nie słyszał skargi na samotność i smutek. I myśla-łem właśnie jak szczęśliwym być może ten, kto mocą swojęj miłości złamie tę dumę wyniosłą, kto tak uczuciem znie-woli chłodną i hardą kobietę, że mu ona powie wzruszona „weź mnie z sobą: smutno mi samęj bez ciebie”—gdy wtém drzwiami od oranżeryi, weszła do pokoju Michalina.

— A! pan Zygmunt—rzekła z lekkim odcieniem zdzi-wienia w głosie i podała mi rękę na powitanie—witam pana u siebie z całą przyjemnością. Ale dlaczegoż Toli nie ma?

— Jerzy znowu czuje się więcéj cierpiącym—tłuma-czyłem jak mogłem bratową—i to zatrzymało Tolę w domu.

— A pana wyгнаło z Podzamcza i zmusiło szukać schronienia u mnie?

— Nie, pani—odparłem uśmiechając się mimowoli—chociaż w samęj rzeczy trzeba anielskięj cierpliwości na znie-sienie kaprysów mego brata, jednak nie dotykają mnie one



tak bezpośrednio, żebym aż musiał uciekać przed niemi z domu.

— To pan musisz mieć jakiś inny powód przyjazdu?—  
badała mnie dalej Michalina.

— Czy pani nie przypuszczasz, że dostatecznym powodem do odwiedzin jest chęć złożenia pani mego uszanowania?

— Nie, to powód zbyt oklepany; nie mógł on tu pana sprowadzić... lepiej powiedz pan prawdę odrazu: pocós pan do Kniaźyna przyjechał?

— Pozwolisz mi pani przynajmniej zauważyć, że w ustach pani domu to zapytanie jest... oryginalne...

— Tylko *oryginalne*? pan miałeś ochotę powiedzieć *niegrzeczne*—odparła—bynajmniej temu nie przeczę, ale cóż na to poradzić? Ja taką już mam naturę, że się nigdy nie zadowaliam pozorami, zawsze mi potrzeba prawdy na dnie leżącej.

— I prawdę pani dajesz w zamian?

Spojrzała na mnie uważnie; oczy jej zasłży mgłą zamyslenia, potem znowu szafirowemi rozplonęły blaskami, i po krótkiej chwili milczenia, odrzekła powoli z dumnym na czole wyrazem:

— Nie zawsze i nie każdemu.

— Dlaczego?

— Bo jedni jej nie warci i nie potrafią poznać się na nią; drudzy choć może warci, to mnie o nią nie proszą; inni znowu choć proszą, to im ona na nic niepotrzebna.

— Dlaczegożby o nią prosili?

— Dlaczego dziecko napiera się zabawki? przez kaprys.

— Cóż pani takim dajesz?

— Sypię im w oczy blichtrzem i to im doskonale wystarcza... Prawdę rzeczywistą, poważną prawdę mojej myśli chowam dla siebie jedynie.

— To egoizm lub duma.

— Nie, to tylko poczucie własnej godności—broniła się stanowczo pani Michalina—a więc duma godziwa, pozwolona, nawet potrzebna. Każdemu przecie służy prawo ocenienia własnej wartości.

— Z warunkiem, aby ją nie przeceniać.

— Surowy pan jesteś—odparła mi na to kobieta—czy to przez chęć ożywienia rozmowy sprzecznością zdań, czy jedynie przez miłość prawdy?

— Pani wiesz dobrze, że rozmowa między nami nie upada nigdy.

— Więc to przez miłość prawdy tak mnie pan strofujesz poważnie? jedynie przez miłość prawdy, czy i przez jej pragnienie także?—spytała patrząc mi w oczy z figlarnym wdziękiem, który dziwnym urokiem rozjaśnił jej rysy poważne.

— Kto kocha ten i pragnie razem—odparłem; im kto kocha poważniej i szczerzej, tém usilniej pragnąć téż musi. Jeżeli panią kiedy zapytam o prawdę... co mi pani odpowiesz?

— Powiem ją panu... powiem całą i rzeczywiście. Przyrzekam to panu i w każdym czasie pozwalam upomnieć się o dotrzymanie tego słowa, na które panu rękę podaję.

I wyciągnęła do mnie rączkę malutką, białą, wypieszczoną, podobną do wykwintnego cacka, taką jak powinna być ręka kobiety. Ująłem ją z radością i wzruszony, szczęśliwy do ust poniosłem, mówiąc:

— Za powrotem upomnę się o to słowo, a tymczasem...

— Za powrotem?—żywo przerwała mi pytaniem—kiedyż pan jedziesz i kiedy powracasz?

— Czy pani co na tém zależy—spytałem nie puszczając jeszcze jej ręki i tonąc wzrokiem w jej oczach, co mi niebem przeświecały w tej chwili—czy pani tak jak ja liczyć będzieś chwile dzielące wyjazd od powrotu?

Zamyśliła się trochę i nie usuwając malutkiej dłoni, odrzekła mi na to:

— Wyglądać pana będę jak uczciwy dłużnik, co chce się uiścić z długu swemu wierzycielowi.

— Tylko—pytałem znowu z prośbą w głosie, nie zdejmując z jej twarzy rozkochanego wejrzenia—tylko jak wierzyciela?

Ale ona spokojnie wysunęła rękę z gorącego uścisku moich dłoni i zwykłym swoim, szyderczo-chłodnym tonem, na pytanie pytaniem mi odparła:

— Czy pan znajdujesz właściwém, żebym go czekała we łzach i tęsknocie jak bohaterka romansu?

Spuściłem głowę, dziwnie zniechęcony i smutny. Szyderstwo jój, do którego przecie powinienem już być przywyknąć, dotknęło mnie w téj chwili boleśniej niż kiedykolwiek. W obec głęboko poważnego nastroju moich myśli, to zapytanie drwiące, wydało mi się niewymownie przykrym dyssonansem: drasnęło mnie jak nuta fałszywa... Nie wiedziałem co mówić; rozmowa toczyła się obojętna, dotykając tylko obojętnych przedmiotów. W kapryśnym biegu swoim zwróciła się ku kwiatom, które Michalina hoduje z zamiatowaniem amatorki i umiejętnością znawczyni. Oprowdzała mnie po oranżeryi, pokazując mi wonne skarby swoje, i zerwawszy przepyszną, ciemno-purpurową różę, bawiła się nią, przyglądając symetrycznemu układowi jój listków.

Wniesiono światła, spóźniona pora przypominała mi, że czas już jechać; rad nie rad powstałem z miejsca i żegnałem ją rozkochany a smutny jak ten, który od skarbu odchodzi, a nie śmie wierzyć, że go za powrotem na tém samym znowu znajdzie miejscu. Żegnając, ująłem obie jój dłonie; w tém poruszeniu upadła róża na posadzkę, schyliłem się więc po nią i oddając kwiat Michalinie, spytałem:

— Czy i ją pani rzucisz w ogień?

— Nie—odparła z niezwykłą słodyczą w spojrzeniu i głosie—nie spalę róży... w róży jest woń i życie, prawda i piękność prawdy... dam ją panu do schowania. Jedź pan z Bogiem i wracaj...

I odchodząc ku drzwiom swego pokoju, od progu jeszcze przesłała mi uśmiech na pożegnanie.

Rozmarzony, szczęśliwy, wyjechałem z Książyną. Dziś koło południa posłaniec jój przywiózł Toli pakiecik książek, które ja wczoraj zapomniałem zabrać z sobą, a krótki dołączony do nich bilecik, który mi Tola pokazała z uśmiechem pełnym domyslności, kończył się temi słowami: „Panu Zygmuntovi zasyłam życzenia szczęśliwej podróży, prędkiego powrotu i dobrych myśli.” Tego bileciku już Toli nie oddałem i z ukradzionym skarbem moim wyjeżdżam z *dobrą myślą*.

*Zygmunt.*



*List VIII.*

MICHALINA DO NATALII.

*dnia 7 lutego.*

Otóż i pojechał sobie pan Zygmunt. Na dwa dni przed wyjazdem był u mnie na pożegnanie i mieliśmy z sobą bardzo subtelną rozmowę, w której wprawdzie nie powiedzieliśmy sobie nic takiego, co by nas względem siebie zobowiązywało stanowczo, nie mniej przeto jednak on mi prawie wyznał, ja mu prawie odgadnąć pozwoliłam, że sobie wzajemnie nieobojętni jesteśmy. Pojechał tedy z różą, którą mu wspaniałomyślnie dać raczyłam. Wprawdzie nie prosił mnie o nią... ale miał taką minę, że najszczęśliwszy będzie jak ją odemnie dostanie: cóż mi więc szkodziło zrobić *najszczęśliwszego* kosztem kilku słów wymówionych i jednego poruszenia ręki? Co z tego dalej będzie? ja jeszcze nie wiem sama, Natalio... w życiu tak nie trudno o zawód! Może ten człowiek, którego spojrzenie obiecuje mi dać szczere złoto uczucia, da mi tylko taki szych nędzny, po który nawet schylić się nie będzie warto, i obrażony, że ja szychu brać nie chcę, odchodząc ciśnie mi w oczy arcy-patetyczne przekleństwo?... i to być może. A jednak... zdziwiłoby mnie to mocno, bo ty Natalio, która mnie znasz tak dobrze i nigdy się nie mylisz w sądach swoich o mnie, ty trafnie odgadłaś, że mi się bardzo podobał pan Zygmunt. Podobał mi się tak, że ja istota, całym wysiłkiem rozumu i woli broniąca się pokusie marzenia, nie raz marzę pocichu jak szczęśliwą i dumną może być kobieta, z którą ten człowiek życie swoje podzieli... A śliczne jest marzenie takie, ponętne i słodkie dla każdej, a więc i dla mnie także... bo i ja także pod tą zewnętrzzną osłoną chłodu mam w piersi ciepłe serce kobiece, biedne serce stęsknione i smutne, i kochać bardzo pragnące... Cóżem ja winna, że wpływy całego mego życia złożyły się na wyrobienie we mnie téj dumnej nieśmiałości, co woli smutki wewnętrzne pokryć lekceważeniem niż przyznać się do nich głośno, co nie umie się poskarżyć przed światem na tę serdeczną samotność, tak niewymownie ciężką? Ty jedna wiesz Natalio, że patrząc w tę moją przyszłość taką pustą,

szarą, bezcelową, nieraz ręce załamuję z rozpaczą i jak tonący szuka deski ratunku, tak ja oglądam się z gorączkowym niepokojem za kimś lub za czémś, coby mnie potrafiło wyrwać z téj toni. Niestety! muszę mieć złe oczy albo nie umiem szukać, bo nic nie widzę, a dzień za dniem ubiega zabierając mi młodość moję, co przejdzie zapewne, nie dawszy mi tego szczęścia, do którego ma prawo każde serce kobiece! Co ja mam robić? powiedz Natalio, co i kogo tak serdecznie ukochać, żeby mi się ta miłość stała celem życia? Jakim cudem zbudzić w mojej piersi to uczucie miłości, kiedy tyle już razy wyrazy jęj obijały się o moje uszy, a jam ich słuchała obojętna i roztargniona, jak się słucha znaną zwrotek piosenki. Mojaż to wina, że oni wszyscy mówią mi jedno i to samo? nieledwie tąż samą intonacją głosu? a żadnego z nich uczucie nie zabrzmi mi tąż pełną, poważną nutą prawdy, co musi być najpiękniejszym z wdzięków składających pieśń życia! Powiedz czy moja to wina? a przedewszystkiem powiedz mi, czy i pan Zygmunt do innych podobny? bo on to przecie wywołał pod moje pióro te słowa, które czytałaś już nieraz, ale czytałaś tylko ty jedna.

Zagadką jest życie, kto wie czy nie komedia, gdzie wszyscy mamy rozdane role i gramy je mniej więcej umiejętnie, z chęcią wyperswadowania sobie wzajemnie, że ta rola przez nas odgrywana, to prawda najszczerza... Tydzień już upłynął od wyjazdu pana Zygmunta, a powrotu jego zaledwie w maju spodziewa się Tola. Teraz dopiero zaczyna się luty, więc jeszcze długie trzy miesiące czekać trzeba na śliczną wiosnę bożą, co może i we mnie także rozwinie uroki wiosenne. Tymczasem w opustoszałem Podzamczu nie wesoło; wyjechała i pani baronowa i Julia, nawet pani Morska: dopiero na lato wszyscy razem zjechać się mają. U mnie jak zwykle cicho i pusto w domu, kwiaty mi tylko kwitną, czarny mój Sokół łąsi się do mnie i przymila, nowych nut zapasy wzywają mnie do fortepianu, ale ta ciągła, niezmienna, spokojna jednostajność życia stała mi się już nudną i przykrą. Lepsza jest może nawałnica i burza i gromy szalone, niż takie zupełne *calme plat...*

Na urozmaicenie jednostajności żywota przybywa mi gość nieznany prawie i obcy, choć krewny, znasz pana Rajmunda? Jakieś komplikacye interesów majątkowych zmu-

szają jego matkę wyjechać na pewien przeciąg czasu ze stron, które zamieszkiwała dotąd; zaprosiłam więc panią Helenę do siebie, rada temu że przynajmniej będę miała do kogo przemówić, a naturalnie wraz z nią zaprosiłam i syna, bo ten 22-letni młodzieniec jeszcze nie rozpoczął życia na własną rękę i nieśmiało trzyma się opiekuńczego cienia „mamy”. A ta mama, to prawdziwa *hic mulier*; poszłabym w ogień, schowałabym się w mysią norę przed zmarszczeniem jej brwi Jowiszowych. Nie wiem jeszcze dobrze, co będziemy z sobą robili, tak sami we troje przez długie parę miesięcy; nie wiem jaki to człowiek pan Rajmund. Od 6-ciu lat zupełnie straciłam go z oczu, a dawniej będąc 17-letnią panienką, nie zważałam zupełnie na dzieciaka o rok młodszego od siebie: wnoszę jednak, że syn matki tak despotycznie kochającej, musi mieć naturę wątlą, bluszczową, pozbawioną wszelkiej samoistności. W każdym razie będę mu rada, jako nowości. Do widzenia Natalio moja.

*Michalina.*

### *List IX.*

NATALIA DO MICHALINY.

*Dnia 15 lutego.*

Michalino ostrożnie! ostrożnie! bawisz się z życiem i ludźmi, bawisz się z własnem i cudzém uczuciem, nie myśląc o tém, że tonie takiego serca są bezdenne jak Oceanu głębiny, że toń taka może cię porwać z sobą i pochłonać, a miłość którą jak cackiem w paluszkach obracasz figlarnie, przemienić się może w broń groźną i wybuchem swoim ciebie zranić śmiertelnie. Daj pokój Michalino, nie baw się uczuciem pana Zygmunta, ani je lekceważ: przyjmij je albo odepchnij stanowczo. Pojmuję ja te obawy i zapytania, jakie ci stawia myśl twoja; usprawiedliwiam poniekąd to zwątpienie, co ci kładzie w usta słowa ironii, wtedy gdy serce twoje drży wzruszeniem głębokiem; rozumiem, że czujesz potrzebę wyrobienia w sobie przekonania o mocy i prawdzie tego uczucia, na którém może oprze się życie twoje: ale mimo to, powiem ci dzisiaj co powtarzałam już nieraz:—mniej licz na rozum własny, trochę więcej na Bożą Opatrzność.



Nic nie ma gorszego, nic zgubniejszego dla duszy, jak ten nałóg ciągłych a chłodnych, anatomicznie-dokładnych, mikroskopowo-drobiazgowych studyów nad osobą. Jak ten, co długo patrzy przez szkło przybliżające, czuje potem zmęczenie wzroku i nie może sobie zdać sprawy o zarysach przedmiotów i stosunkowej ich między sobą odległości; tak i w świecie moralnym, przez zbyt i przesadzone natężenie uwagi na siebie samą, przez ciągłe analizowanie każdego drgnienia serca, każdego zwrotu myśli, przez suche rozumowanie, odrzucające wszystko, co nie znajdzie miejsca w łańcuchu ciasnej i dokładnej logiki: jednem słowem przez mędrkowanie sceptyczne, zatraca się zmysł prawdy, zacierają się delikatne półcienia uczuć, właśnie dlatego że je chcemy schwycić, ująć i streścić myślą w jakiś pewnik nieporuszony i jak dogmat niezmienny. Niektóre uczucia są istnie jak listek *mimozy*, co nie znosi obcego dotknięcia; skoro ich dotkniesz badawczą myślą, zwiną się w sobie i już nie śmiejąc otworzyć, powoli zmarnieją w ucisku. Ty Michalino, byłabyś najlepszą pod słońcem istotą, gdybyś trochę mniej rozumowała i nie tak uważnie badała samą siebie. Dobrze jest siebie pilnować i wiedzieć o wewnętrznej treści swojej, ale ciebie tak zaprzęta to pilnowanie, że się boję, by ci nie zbrakło czasu na to drugie zajęcie, co pierwszém być u kobiety powinno, na uczucie, uczucie gorące i rzewne, miękkie a niepokonane, co kobietę przetwarza, dopełnia i piętnem kobiecości znaczy. Znać siebie i siebie samą trzymać w karbach rozsądnej woli, dobrą jest i pożyteczną rzeczą, ale umieć ukochać serdecznie i wiernie, to także rzecz jest niemała; a Chrystusa przebaczenie łaskawe padło błogosławieństwem na czoło téj, która wiele kochała: o *miłość*, nie o *wiedzę* pytał Chrystus kobietę. Uwierz w miłość i odpłać miłością, a szczęście za którym tęsknisz i nazywasz je marzeniem, stanie się dla ciebie śliczną, jasną rzeczywistością życia. Mam w Bogu nadzieję, że nawróconą już nawracam tém kazaniem, bo znam ciebie, wiem że pod słowem wypowiedzianém kryje się zawsze treść niedopowiedziana lub przemilczana, a często sprzeczna ze słowem. Mówię to wszystko jedynie dla spokojuości mego własnego sumienia, które wierzy, że usłuchasz głosu przyjaźni; ale razem im więcej się wczytuję w twój list, tém mocniej jestem przeko-

naną, że te słowa moje, jeżeli odniosą jaki skutek, to tylko taki, jaki sprawia kropla wody wpadająca w czarę już pełną po same brzegi: wszak prawda, Michalino?

*Natalia.*

*List X.*

MICHALINA DO NATALII.

*Dnia 20 kwietnia.*

Znowu długo nie pisałam do ciebie, bo i cóż miałam ci pisać? Piszac nie dość jest zdać sprawę z faktów, trzeba jeszcze zebrać myśli, obrachować się z sobą i zdać sprawę z wrażenia, jakie nam te fakta przyniosły, a ja właśnie do takiego obrachunku nie miałam najmniejszej ochoty. Dlaczego? albo ja wiem? Może się bałam, żeby cyfry tego obrachunku razem zestawione nie wydały summy znaczniejszej niż ta, którąbym znaleźć chciała;... może się bałam, żebyś ty przerażona lub zadziwiona wysokością téj summy nie powiedziała mi znowu kazania o umiarkowaniu i ostrożności w wydatkach?... bo ja ciebie się boję, Natalio. Ty mnie znasz doskonale, wiesz nie tylko *co* ja myślę, ale dlaczego *tak* a nie inaczej myślę; nie tylko zgadujesz *co* ja chcę, ale wiesz *za- wczasu* czego chcieć będę; jesteś wcielonym głosem mego sumienia, prawdomierzem moim, że się tak wyrażę. Posłuchaj co ci powiem:

Pani Helena jest u mnie od dwóch miesięcy i kocha mnie bardzo; pan Rajmund jest także od dwóch miesięcy i kocha się we mnie.

Oto jest fakt... wrażenia jakie mi on przynosi, są niezmiernie zawikłane. Rajmund dziwnie mi się podoba, chociaż charakter jego stanowi najwybitniejszą sprzeczność z pojęciem mojem o tém, jakim być powinien prawdziwie męzki charakter. Właściwie mówiąc, nie ma on chyba charakteru żadnego; istota to nieobrachowana jeszcze i nieujęta, nie wiem czy skutkiem młodości czy moralnej jego organizacji. Natura miękka i bezwolna, a mimo to czy też może właśnie dlatego, despotyczna i aż do szorstkości kaprysami najeżona, księżycowo rozmarzona i razem gorączkowo namiętna, miłośna, niby płomienna a samolubna, więc zapewne jak wszel-

kie samolubstwo lodowato-zimna w głębi swojej—takim jest pan Rajmund, którego trochę dla tego że mi krewny, więcéj jeszcze dlatego że go za dziecko uważam, *Muniem* nazywam poprostu, a spieszczone to imie tak do niego przystało, że nietylko matka, znajomi i krewni, ale nawet służba inaczej o nim i do niego nie mówi, z tą tylko różnicą, że go panem *Muniem* zowie bo „*à tout seigneur, tout honneur*”

Zkąd, jak i dlaczego zebrało mu się na miłość do mnie, tego ja nie wiem doprawdy. Wiem tylko, że już w tydzień po przyjeździe czarne, duże i pełne ślicznego wyrazu oczy Munia towarzyszyły mi w każdej chwili, że mnie spotykały u wejścia, żegnały u wyjścia, pytały, prosiły, mówiły mnóstwo różnych rzeczy, z których z początku śmiałam się niedowierzająco... Ale powoli, ta wymowa wzroku odniosła skutek owéj kropli wody, co nieustannie w jedno upadając miejsce, w końcu kamień wyźłobić sobą potrafi. Ja śmiać się przestałam, a oczy Munia przyzwawszy sobie usta do pomocy, mówiły mi coraz to więcéj rzeczy. A w gorącym wzruszonym słowie leży wielka potęga uroku! Z początku nie słuchałam nic prawie; potem słuchałam obojętnie, potem już z pewną ciekawością; dziś? dziś słucham z zadowoleniem prawie. I słuchając, nieraz to sobie powiadam, że jeżeli jaka miłość na świecie jest prawdą, to tylko taka miłość młodzieńczego serca, co nie miało jeszcze dosyć czasu aby się wypalić, zwęglić, co nie zużyło swego ognia na płomienie co chwila wybuchające, a zawsze nową podniecane ręką.

Słowa i przysięgi, które mi szepcze Munio, słyszałam już nie raz... bo smutna moja wdowia swoboda, co lada dudka upoważnia do starania się o moją rękę; pozwoliła mi niestety! nabyć dużo doświadczenia w tym względzie: wszyscy oni mówią to samo... Ale ta jest między niemi różnica, że inni recytują te słowa z pamięci jak lekcya, niejednokrotnie już wydawaną, a Munio je wypowiada intuicyjnie i z całym młodości zapałem. Że je wypowiada w téj saméj formie, nie jego to wina, boć przecie jednakie przyczyny jednakowymi muszą się objawiać rezultatami. To pół-dziecko rozkochane, marzące, tyranicznie narzucające mi się z uczuciem swoim, bezsilne i właśnie tą wiotką bezsilnością zwyciężkie, ma w głosie takie intonacye a w oczach takie spojrzenia,



któremi umie mi trafić, nie do serca jeszcze, ale do przekonania mego: *wierzę* że Munio mnie kocha, a ta wiara jest już we mnie postępem niemałym. A jednak, jak w poprzednim liście moim, tak i dziś znowu ci powiem, że sama jeszcze nie wiem co z tego dalej będzie. Rzadko wprawdzie marzę, ale *mea culpa* zdarza mi się to czasami: wiesz dobrze Natalio, że przez chwilę marzyłam o inném uczuciu. Czas rozwiął tanto marzenie, chociaż ono było nieskończenie dla mnie pojętne, chociaż nawet miało wszelkie pozory rzeczywistości; czas, a więc jeszcze rozsądek i trwożne przeczucia, które mnie ostrzegały że stanęłam na drodze niebezpiecznej. Dziś, mogę ci to już powiedzieć otwarcie, byłabym kochała pana Zygmunta miłością głęboką, wyłączną, miłością, co by mi całą duszę i całe życie zabrać mogła. Ale dla mnie miłość taka, to spokój i swoboda całego mojego życia stawione na kartę... zmarnowane może! Takie miłości nie dają szczęścia, nie tworzą i budują, ale pochłaniają i niszczą... więc też strach mnie ogarnął paniczny i przestraszona, nawet wspomnienie pana Zygmunta postanowiłam na czas jakiś wygnąć z mojej pamięci. Wtedy dopiero pozwolę wrócić wspomnieniu, kiedy w obecności tego człowieka, nawet na jedną chwilę serce nie zabije mi żywiej... bo się boję serca własnego... A tymczasem pozwałam Muniowi mówić mi o swojej miłości, bo choćbym się nawet zgodziła na to, by mu wzajemnością odpłacić, to wiem że tę zapłatę dam spokojnie, więc dla tego, żeby mu ona radość przyniosła, niż żeby mnie samą tak bardzo wiele na tém zależało. Cóżbyś ty na to powiedziała Natalio, żeby tak jeszcze trochę poczekawszy, wypróbawwszy wzajemności tego dzieciaka niepewnością w jakiej go trzymam, dała mu wreszcie słowo przyrzeczenia i poprostu poszła za Munia? On mnie kocha, ja się powoli przywiążę do niego, w jedném go trochę opanuję, w drugiem sama pozwolę się opanować i koniec końcem będę mieć w życiu cel jakiś, a nie stracę tego spokoju na który się czasem skarzę, ale który, bądź co bądź jest wygodniejszym od burzy i uraganów, jakimi przeczuwam, otoczyłby mnie pewno pan Zygmunt. Pytam się tedy raz jeszcze, co byś ty na to powiedziała, Natalio?

*Michalina.*

*List XI.*

MICHALINA DO NATALII.

*Dnia 16 maja.*

List mój ostatni zakończyłam pytaniem tém usilniejszém, że po dwakroć było powtórzone i nie czekam już twojej odpowiedzi, bo prawie mimo woli mojej, tak się jakoś rzeczy złożyły i ułożyły stanowczo, że odpowiedź twoja, Natalio, jakąkolwiek byłaby, nic już zmienić nie potrafi. Od tygodnia jestem narzeczoną Munia i doprawdy są chwile w których sama tak mocno temu się dziwię, że trochę więcej zadziwienia a jużby się ono żalem nazwać mogło. Bądź jak bądź, słowo jest dane; na tak niespodziewanie szybką decyzją wpłynął trochę arcy-dramatyczny wypadek, którego ofiarą był Munio, więcej jeszcze strach, którym mnie przejmuje pani Helena, w zapale swojej macierzyńskiej miłości podobna do lwicy rozgniewanej. Wypadek ów był następujący:

Będzie już temu ze trzy tygodnie, jak chcąc skorzystać z pierwszych ciepłych promieni wiosennego słońca, wyszliśmy na spacer do lasu. Ja z Muniem szłam trochę naprzód, dla powagi i przyzwoitości o parę kroków za nami pani Helena, której groźne spojrzenie łagodnieje zawsze ile razy spostrzeże na mojej twarzy uśmiech do Munia zwrócony. I bylibyśmy najspokojniej zaszli i równie spokojnie wrócili, gdyby mi się nie zachciało zbierać bukietu z tych ślicznych, błękitnych pierwiosnków, których pełno jest po lasach naszych. W tém romantyczno-sielankowém zajęciu Munio dopomagał mi gorliwie, we dwoje zbieraliśmy bukiet ogromny, ale „człowiek nigdy nie syt fortuny”, to rzecz wiadoma. Staliśmy właśnie nad brzegiem ogromnego rowu, pełnego wody ściekającej z wiosennych roztopów, na przeciwnym jego brzegu rosła cała kępka pierwiosnków tak ponętnie pięknych, że nie mogłam się oprzeć pokusie pokazania ich Muniowi i poskarżenia się, że tak trudno je zdobyć. Munio jako grzeczny młodzieniec, chciał dogodzić memu żądaniu, i rozpędziwszy się w biegu, spróbował rów przeskoczyć. Na nie szczęście miał więcej dobrych chęci niż zręczności i wprawy, i zamiast skoczyć na brzeg przeciwny, skoczył prosto w zi-

mną i po szyję głęboką wodę. Pani Helena krzyknęła, z początku i ja nawet przeraziłam się trochę, ale widząc że mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, nie mogłam powstrzymać uśmiechu, wywołanego komiczném położeniem w jakim znajdował się Munio. Uśmiech ten był oliwą do ognia dolaną, Munio zebrawszy się na bohaterską odwagę, chociaż w wodzie po samą szyję zanurzony, wyciągnął jeszcze rękę po owe kwiatki nieszczęsne. Widząc że mimo to, i teraz nawet dostać ich nie może, przedsięwziął wydrapać się na brzeg rowu oślizły i dość stromo nad wodą wzniesiony. Zimna kąpiel użyta nie w porę, dodaje widać elastyczności członkom, bo Munio bardzo zręcznie dopiął swego zamiaru i już zerwane pierwiosnki trzymał w dłoni, kiedy wilgotna ziemia osunęła mu się pod stopami i znowu wpadł w wodę, ale na wzrak tym razem i głowę na dół. Rzeczywiście położenie było takie, że rada nie rada i ja przestraszyć się musiałam; w pierwszej chwili niewiedząc jak poradzić na to nieszczęście, czułam się mocno zakłopotaną. Pani Helena całą siłą głosu krzycząc zaczęła i ten krzyk, przeraźliwie głośny, zwabił ludzi rąbiących drzewo w pobliżu. Wydobyto szczęśliwie przemokłego do nitki Munia: biédak dzwonił zębami, więc pani Helena zdjęła szal z siebie, żeby nim okryć jednaka, ale ja widząc że ogromnego, o głowę wyższego od siebie chłopca, matka otula szalem jakby dzieciątko maleńkie, uśmiechnęłam się znowu... i Munio szala nie wziął a nikomu z nas nie przyszło na myśl, że od którego z tych ludzi może przecie pożyczyć sukmany. Szedł więc do domu przemokły i jak w febrze cały drżący, a chociaż zaraz po powrocie ogrzał się przy ogniu kominkowym, chociaż poiłyśmy go różnemi rozgrzewającymi środkami, nic to już nie pomogło, Munio się naprawdę rozchorował i jeszcze tego samego wieczora z mocną gorączką położył się w łóżko. Na drugi dzień było mu jeszcze gorzej, wezwany lekarz oświadczył nam, że gwałtowne zapalenie płuc stawia go w prawdziwém niebezpieczeństwie. Pojmujesz moje przerażenie, ponieważ ja byłam przyczyną téj choroby; pani Helena patrzyła na mnie wzrokiem iskrzącym się od gniewu i wyrzutu, mnie samój szczerze było żal biednego Munia, który nie poznawał mnie w gorączce, choć nie odstępowałam go na krok i nieprzytomny, ciągle imię moje miał na ustach. Czułam się w obo-



wiązku otoczyć go jak najserdeczniejszą troskliwością, po raz może pierwszy w życiu, konwencyonalna obojętność mego obejścia ustąpiła miejsca miękkiej, pieściotliwej, kobiecej prawdzie charakteru, i nawet gdy Munio oprzytomniał taką samą dla niego zostałam, bo mnie lekarz przestrzegał, że życie jego wisi na włosku i że lada gwałtowniejsze wstrząśnienie może mu śmiertelnie zaszkodzić. Nie chciałam więc wyprawiać go na tamten świat, bo się bałam pani Heleny i zresztą żal mi było biednego dzieciaka, co prawdziwie jak rozpieszczone dziecko potrzebował patrzeć na mnie i mieć mnie ciągle przy sobie, któremu ja tylko jedna dogodzić umiałam, ja tylko potrafiłam chodzić tak lekko, że go nie raził szelest mojej sukni, tak podać lekarstwo lub napój, że kapryśny i niecierpliwy chory przyjął je z mojej ręki. Tą swoją bezsilnością, kaprysami, tém dziecinném rozpieszczeniem swoim, opanował mnie tyranicznie, przykuł do siebie, przyzwyczaiłam się być mu nieodstępna, ulegać mu, dogadzać, uprzedzać nawet jego życzenia: przywiązałam się do niego jak do istoty której czułam się niezbędną... A jednak, gdy niebezpieczeństwo minęło, gdy wracający już do zdrowia Munio, nieśmiało i cicho wyszeptał mi jakieś słowa, z których raczej domyśliłam się niż usłyszałam, że to mać być o rękę moją suplika... zawahałam się mocno w odpowiedzi. Zawahałam się tak, że prosiłam Munia aby mi zostawił choć jeden dzień do namysłu: on zgodził się na to i przyrzekł mi że będzie spokojnym, ale widać nie miał siły dotrzymać mi tego przyrzeczenia. Niepokoił się i burzył, niecierpliwił się i miotał, aż wreszcie wróciła gorączka a pani Helena uwiadomiona przez niego o przyczynie która wywołała to pogorszenie, wbiegła do mnie z przerażającym impetem i cisnąwszy mi w oczy tysiącem wymówek powiedziałwszy między innemi, że niegodziwie bałamuciałam Munia, że to zabawa nieuczciwa i mordercza, wyciągnęła w końcu ku mnie rękę i przybrawszy pozę właściwą posagowi jakiejś Eumenidy macierzyństwa, nazwała mnie: „zabójczynią syna”. Z filozoficzną obojętnością przeniosłam tę nawałnicę, mimo to rada jednak byłam jak mi przestała huścić nad głową, ale to gwałtowne pogorszenie Munia zaniepokoiło mnie żywo, opinia lekarza bynajmniej mnie nie uspokoiła, wreszcie nie wiedząc jak z tego wybrnąć, napół-nie-

przytomnemu już Muniowi szepnęłam pocichu, żeby był spokojnym, przypomniałam, że mi to przyrzekł i dodałam, że nie ma się czego obawiać, bo prawdopodobnie wypadek mego namysłu będzie właśnie takim, jakiego on pragnie. Te słowa poskutkowały cudownie, gorączka wywołana rozdrażnieniem umysłu czy nerwów może, natychmiast minęła, skoro tylko powód rozdrażnienia ustąpił, a pani Helena chwyciła mnie w objęcia z wdzięcznością i zapałem tak gwałtownym, że tylko poprzednie jej wybuchy pod względem gwałtowności równać się z nim mogły. Od tej pory, Munio rozpromieniony radością z każdym dniem do sił powraca i dziś już prawie całkiem jest dobrze, skutkiem czego pani Helena nazywa mnie jego zbawczynią... i zapewne z tym przydomkiem zostanę już na zawsze.

Otóż widzisz Natalio moja, jakim sposobem chcąc mieć kilka kwiatków więcej, dostałam męża i gwałtowną w uczuciach matkę mężowską. Powtarzam ci, temu co się stało, nikt więcej odemnie się nie dziwi... chyba jedna Tola, która widać musiała się czegoś domyslać, bo udzielona jej przeze mnie wiadomość o zaręczynach z Muniem, była dla niej widocznie największą i o ile mi się zdaje, najmniej przyjemną z niespodzianek. Pan Jerzy wyjeżdża za kilka dni, zapewne więc niedługo przyjedzie pan Zygmunt... ciekawam naszego pierwszego spotkania. Choć zaczynając ten list, zapowiedziałam ci z góry, że słowo twoje nic nie wpłynie na fakta nieodwołalnie już spełnione, powiedzże mi jednak, co myślisz o tém wszystkim, boć przecie musisz coś myśleć, choćby dwa słowa tylko a musisz mi coś powiedzieć z powodu mego postanowienia, przyczyn które na nie wpłynęły i tego wszystkiego, o czém od godziny już rozmawiam z tobą, zawsze jednakowém uczuciem kochającą cię. *Michalina.*

### *List XII.*

NATALIA DO MICHALINY.

*Dnia 24 maja.*

Cóż ja ci powiedzieć mogę i co chcesz żebym ci powiedziała Michalino? Jeżeli ty się dziwisz, to z pewnością i ja dziwię się także; jeżeli ty nie żałujesz, to ja żałować mam prawo, nietyle może tego, że idziesz za owego Munia (którego ja w prawdzie znam mało, ale którego ty sama nazywasz

dzieciakiem) jak tego, że się tak bawisz z życiem, ty kobieta zkadina! tak poważnie na życie i obowiązki jego patrząca. Nie rozumiem ciebie... nie rozumiem zupełnie i po raz pierwszy w życiu nawet rozumieć nie chcę;... bo się lękam żeby zrozumienie ciebie dokładnie, nie obniżyło tego wysokiego stanowiska, na jakim w myśli mojej i uznaniu, przywykłam cię stawiać zawsze. Wytłumacz mi po co idziesz za Munia? ty go nie kochasz. Złękłaś się, powiadasz, wyrzutów pani Heleny i cheroiby Munia? ależ Michalino moja, po co dopuściłaś do tego, że matka czuła się w prawie robienia ci wyrzutów, a syn dopominania się tak namiętnie, tak despotycznie o miłość twoją? Jeżeli w samej rzeczy, poczucie uczciwości powiedziało ci, że zaszedłszy za daleko, już nie masz innego punktu wyjścia, to zapewne... trudno było zrobić inaczej; ale w nadziei mojej i pragnieniu inną drogę widziałam dla ciebie i myślałam że zechcesz poszukać szczęścia w poważnej miłości człowieka dojrzałego tak sercem jak i umysłem, nie w szalonem rozkochaniu dzieciaka. Stało się, daj Boże aby się to obróciło na dobre, abyś nie pożałowała swego kroku i *nikt* nie cierpiał na tém, a przede wszystkim niech ci Bóg odejmie tę ciekawość, do której się przyznajesz. Ze wszystkich względów, uważam ją za niedobrą. Taka ciekawość, jeżeli jej współczucie nie towarzyszy, jest niepocziwą, tylko złą, bezserdeczna kobieta, może być obojętnie ciekawą w takim razie, ty nią przecie nie jesteś. A narzeczona Munia nie ma prawa być ciekawą i współczującą razem, nie ma prawa litować się i użalać, bo raz już się przekonała, że litość i współczucie prowadzą ją dalej niżby sama zająć pragnęła, więc zapewne raz drugi próbować już tego nie zechce. Daj już pokój tym studjom psychologicznym Michalino, ja patrzę na ciebie z trwogą matki, która widzi że malutkie jej dziecko bawi się z ostrym nożem a nie może mu go odebrać... nie dodawaj mi niepotrzebnie trwogi, nie płacz swego życia nierozważnie, bo tak się możesz uwikłać, że ci się serce rozedrze, gdy zapragniesz wydobyć się z téj gmatwaniny. Zanadto cię kocham, żeby mi nawet przypuszczenie podobne mogło być obojętnem, w każdym razie liczę z pewnością na to, że moja przyjaźń nie zawiedzie cię nigdy.

Natalia.



*List XIII.*

ZYG MUNT DO TOLI.

*Dnia 20 maja.*

Czuje siostró kochana, że zaczynasz się niecierpliwić długą moją niebytnością i może mnie posądzasz o niechęć dotrzymania ci obietnicy przyjazdu. Ale wierzaj mi, stokroć więcej od ciebie ja sam się niecierpliwię na zbieg okoliczności, który mi się nie daje ruszyć z domu, a jeżeli ty pragniesz widzieć mnie w Podzamczu, to z pewnością z pragnieniem daleko gorętszém myśl moja wyrwa się do was; ale powtarzam ci, do téj pory dom mój i ten otaczający mnie świat, którego w swojém przekonaniu, każdy pan domu jest ogniskiem, krępowały mnie tak, że woła moja, pragnienia i nadzieje musiały się poddać przemocy obowiązku i umilknąć na chwilę z wołaniem swojém. Dziś jestem już wolny i za parę dni wyjeżdżam do was. Jakby na uczucie rodzonej siostry, tak liczę na twoją przyjaźń, czy nie, ze wszystkiego na co liczę, nie zastanę u was zmienném? wyjechałem z *dobrą myślą*, czy rzeczywistość jaką za powrotem zastanę, nie odbierze mi téj dobrej myśli, co mi jest nadzieją szczęścia, jak nadzieją ukochaną i świętą? *Zygmunt.*

*List XIV.*

ZYG MUNT DO ANIELI.

*Dnia 30 maja.*

Anielo, straszne są życia ironie i straszne jego zawody! Jechałem do Podzamcza rozkochany, szczęśliwy; ufny że obietnica wyczytana w oczach kobiety jest taką uczciwą obietnicą, na dotrzymanie której, mniej więcej długi przeciąg czasu nie będzie wpływać niekorzystnie. Jam się łudził nadzieją że budzące się w sercu kobiecém uczucie, rozwinie się w kwiat trwalszy, niż owa darowana mi róża, której uschłe listeczki z miłością dotychczas chowałem... złudzenie marne, złudzenie Anielo! ja byłem śmiesznym szaleńcem. Po pierwszych słowach przywitania, nie mogłem przemódz na sobie żeby Toli natychmiast nie zapytać o panią Michalinę, stęskniony byłem za wieścią o niéj, stęskniony za samym dźwiękiem jéj imienia. Powiedziała mi Tola, że pani Michalina idzie za mąż, za kogo? za dalekiego krewnego, za pół-dziecko przez matkę wypieszczone, rozkochane w niéj podobno

szaloną, namiętną miłością młodzieńczą. Czy ona go kocha? nie miałem już siły pytać o to, musi go kochać, musi wierzyć że jego miłość da jęj szczęście, kiedy nie chciała być ufną, cierpliwą, nie chciała poczekać na chwilę w której wróciwszy do Podzamcza, rzuciłbym jęj serce moje pod nogi i nie cofnął się przed żadną ofiarą aby jęj stworzyć raj szczęścia. Zapóźno! czy ty pojmujesz Anielo, otchłanie rozpacz, które to jedno słowo zawiera w sobie? Być tu, być blisko nięj, móżdż ją spotkać lada chwila, i wiedzieć że ta upragniona chwila spotkania będzie dla nięj chwilą objętą, dla mnie, męczarnią nad siły!... to rzecz okropna i gdy myślał mierzę te bezdenne przepaście boleści, otwarte przedemną, to mi się w głowie kołuje i myśl skargą wybucha szaloną! Jam ją tak kochał, tak ją kocham jeszcze Anielo! że nic w sercu nie czuję prócz żalu, nie do nięj, ale żalu za nią, nie czuję nic więcęj, nawet dumy obrażonej tą jęj niewiarą w prawdę miłości mojęj. Zapóźno! zapóźno! to jedno słowo echem żałoby rozlega mi się po myśli, zapóźno na szczęście, zapóźno na nadzieję, zapóźno na życie całe! Gmach moich nadziei, zbudowany na podstawie złudzenia, w gruzy się rozpadł na zawsze, a z gruzów nowa budowa nie wstanie! Anielo! to rzecz jest straszna!... stoję na drodze bez wyjścia, niepodobieństwem dokoła otoczony, kochający a odepchnięty wszystko co świątecznym życia orszakiem przejdzie mimo mnie samotnego mijając; zrozpaczony jestem i oszalały boleścią, która morzem bezbrzeżném w sercu mi się rozlała. Miłość ta rozbroiła mnie ze wszystkięj siły, co mi była dotąd bezpieczną tarczą od pocisków losu, zdobycze przeszłości, jutrzejszych plonów obietnice, wszystko mi z duszy zabrała. Zubożałem, a wszystkie rzetelne wartości moje straciłem się samego i przeżyłem... zmarnowane i zniweczone jest we mnie wszystko, co bogactwem mojęm było dotąd... Co ja pocznę Anielo, ja rozbiitek miotany falą namiętności?

*Zygmunt.*

### *List XV.*

ANIELA DO ZYGmunTA.

*Dnia 8 czerwca.*

Odwagi! mój bracie ukochany, odwagi. Niespełniona nadzieja to boleść wielka, ale Bóg tak opatrnie życie urządził, że nie ma w niem nieodwołalnych wyroków rozpacz.

Dzień po dniu, chwila do chwili nanosi do serca drobnutki niepostrzeżone pyłki i przykrywa niemi to wszystko, co w naszém mniemaniu przez całe życie niestartém być miało. Cierpi się, płacze, pamięta, aż w końcu przecierpi, przepłacz, zapomni... i dalej pójdzie swoją drogą: to zwykła kolég życia. Bogatsze, szlachetniejsze organizacye, co samém bogactwem swoim i siłą wyniosłą, ściągają w siebie piorunowe pociski losu, cierpią dłużej, krwawszemi płaczą łzami, a jeśli nadmiar żywotnej potęgi w nich złożonej nie dozwoli im zdrętwieć zapomnieniem, to się łamią, jak dąb od piorunu.

Ale ty się nie złamiesz, Zygmuncie, ty wytrwasz i choć może nie zapomnisz, to boleść pokonasz, bo przy duchowém bogactwie i siły moralnej zasobach, masz jeszcze poczucie obowiązku, boś człowiek myśli, pracy i poświęcenia, a choć myśl bywa często trucizną, to praca i poświęcenie są zawsze lekarstwem niezawodnem. Odwagi mój Zygmuncie! Nie mówię iż przestań kochać, bo z tajemniczą potęgą miłości ludzkiej woli nie iść w zapasy; nie potępiam pani Michaliny, ani tobie powiadam, że taka kobieta nie jest godna uczucia twojego, bo nie chcę jęj sądzić aż wtedy dopiero kiedy żal, żalem twoim wywołany, uciszy się w sercu mojem; ale cię proszę kochającej i wiernej siostry prośbą: nie poddawaj się boleści Zygmuncie! nie zmarniej w niej ty, mój bracie serdeczny, coś mi był dotąd ideałem zacności i siły męskiej, ideałem takim co nigdy z wyżyn swoich nie zstąpił w tłum pospolitości naszych. Chwyć się oburącz jakiegś nadziei, jakiegoś celu, choćbyś cel i nadzieję miał sobie zdobyć przemocą lub trudem krwawym; okaż się silniejszym od nieprzyjaznych warunków życia, silniejszym od boleści co karli nieraz olbrzymy, bądź spokojnym i męznym, jak nim być powinien każdy kto jak ty, cele życia rozumie. O spokój i męstwo, serce moje miłością prosi Boga dla ciebie.

*Aniela.*

(Dalszy ciąg nastąpi).

